



WACŁAW FILOCHOWSKI.

## ZŁOTY SKARABEUSZ.

—o—

(NOWELA).

Kamil krzyknął. Drgnął przytem tak silnie, że stół gotowalny śpiewnie zadzwieczał srebrem i kryształem licznych flakonów.

— Ten Oskar chyba oszalał! Jak można tak nadużywać sygnałów!

Za oknami ponownie warknęła syrena. Jednocześnie na białych drzwiach zawisł jakiś długi cień.

— Wiem już, wiem — opryskliwie wołał hrabia Kamil, zawiązując krawat. Umarłego obudziłby ten dziki ryk. Niech maszyna wraca do garażu, a Ignacy sprowadzi mi dorożkę.

— Słucham.

— Ignacy! — wybuchnął zniecierpliwiony głos. Proszę jeszcze nie odchodzić! Nigdy nie należy przesadzać, nawet w pośpiechu. Umiejętność życia polega na tem, by mądre zamiary skutecznie wcielić w życie. Dokąd idziecie, a właściwie biegniecie?

— Pan hrabia kazał odesłać Oskara i sprowadzić...

— Cóż to za muzealnie nieinteligentny pośpiech! — gniewał się rozdrażniony pan. Nie pomyśleliście o tem, że teraz może mam już, inne dla was polecenie. Aby tylko prędzej, aby zbyć! I tak zawsze!

Ignacy nigdy jeszcze nie widział młodego pana w tak złym humorze, przybrał więc poze zimnej uprzejmości i czekał.

A Kamil, nerwowo szarpiąc krawat, z niepokojem przyglądał się nowym swym obawom.

— To, że nagle porzucam samochód i zaczynam jeździć dorożkami lub chodzić, może obudzić różne domysły. A domysły...

Na karku poczuł zimny prąd deszczu, a w piersi drętvice. Snujące się po rozigranej wyobraźni cienie jęły się układać, jak diabła łamigłówka, w posępne obrazy, a każdy z nich miał hałaśliwy, krew w żyłach ścinający napis: Zbrodnia! Badanie! Sąd! Więzienie! Niesław! Fala strachu była tak silną, że Kamil aż zakrył dłonią twarz i drżąc na całym ciele, rozpaczliwie tłumił w sobie jęk. Gdy znów otworzył oczy i spojrzał w lustro — włosy zjeżyły mu się na głowie.

— Kto to? — krzyknął cicho.

W pokoju był półmrok, gdyż Kamil, ubierając się, zaświecił tylko lampy przed lustrem.

— Kto to, pytam?

Na białym tle drzwi, wśród ciężko spływających z góry portjer, poruszył się czarny, długi cień:

— Czekam na rozkazy pana porucznika.

Kamila otrzeźwił ten głos spokojny i jakby impertynencko uniżony. Po chwili, patrząc uparcie w lustro, młody pan badał ledwo majaczącą w mroku bladą twarz lokaja.

— A jeżeli Oskar wygadał się i Ignacy wie już o wszystkim?

W lustrze wciąż mżył ćwierćśmiejch na wygolonej twarzy służącego.

— Niech Ignacy nie udaje ducha! — krzyknął panicz i z gwałtownym gniewem patrzył na zwierciadło — Nie wchodzi to w zakres waszych obowiązków. I proszę już mnie nie nazywać porucznikiem. Oskar niech czeka. Zawiezie mnie teraz do teatru. Do domu wrócę po dziesiątej. Po wieczery, Ignacy odwiedzie mnie na dworzec.

— Czy pan hrabia nieodwołalnie dziś wyjeżdża?

Zapytanie służącego ukuło Kamila.

— Czy mogę pozamykać walizki i odwieźć je na dworzec?

Kamilowi ręce drżały z nieopisanego rozdrażnienia. Zapanował jednak nad sobą.

— Nieodwołalnie. Może już Ignacy odejść. I jeszcze jedno. Jeżeli będzie pytał o mnie przez telefon głos kobiety, to niech Ignacy powie, gdzie jestem.

Kotara zakolysała się, jęcząc brązowymi

łańcuchami. Z tła białych drzwi cień lokaja zniknął.

— Jestem zupełnie chory — szepnął młody pan i zbliżył gorące czoło do chłodnej powierzchni zwierciadła.

— Pierwszych parę dni — myślał. — Byle tylko minęło pierwsze wrażenie. Wreszcie nie ja jestem bezpośrednim sprawcą śmierci tej kobiety. Któż może mnie winić za to, że jakaś tam niewiadoma istota, widocznie głucha, a pewnie i ślepa, niemrawa i głupkowata, zakała społeczeństwa i ciężar rodziny, dzięki swemu niedołęstwu dostała się pod samochód. Niewiadoma... Co to za straszne imię. Niewiadoma... Czemu reporter, podając tę wiadomość do gazety, nie zadbał o to, by choć wymyślić, stworzyć imię dla niewiadomego trupa i nie straszyc mnie, nie męczyć, nie sidlać.

Wstał i zaczął biegać po pokoju.

— Nie myśleć o tem — dał sobie rozkaz.

Tak, dał sobie rozkaz. Zarozumiałcy utrzymują, że człowiek jest panem swych przeżyć. Oto Kamil mówi sobie po raz już pewnie setny: nie myśleć o tem. Rozkaz wygłasza twarde i kategorycznie. Zła myśl stara się zdławić w zarodku. Zagłuszyć ją śpiewem, krzykiem, książką, winem, przeglądaniem swej rozprawy doktorskiej, formułowaniem żalu i urazy do Risy, dla której Kamila odłożył swój wyjazd na jeden dzień, a która wczoraj i onegdaj nie czekała nań w domu i dziś nawet przez telefon się nie odzywa. I jeżeli młody hrabia zdołał na chwilę uciec z koła swej udręki i zaczepić się myślą o inne sprawy, to jednak gdzieś w najgłębszych pokładach jego życia wewnętrzne, jak zaszczepiona trucizna, ćmił niepokój, najpierw słaby, szybko jednak się potęgający, aż wreszcie narzucił umęczonemu mózgowi natrętne zapytanie.

— O czem to ja zapomniałem?

I wracała świadomość.

— Ah, prawda....

Wtedy znów uderzenie krwi do głowy, później martwica karku i rąk, chłód w piersi aż wreszcie w pamięci ukazywał się obraz męki za każdym razem wraz bardziej wyrazisty, wypukły, wstrząsający. Kamil wówczas bladł gwałtownie i miał wrażenie, że ziemia się pod nim rozstępuje. Dziś po południu w kawiarni, kielner, widząc straszliwy odpływ krwi od twarzy młodego hrabiego, ożywił się szczerze i stracił nawet ten okropny .... wyraz? Nie, nie wyraz, raczej trup wyrazu, nic nie mówiącej, martwej uprzejmości, chyba nawet na noc nie zdejmowanej z twarzy, uprzejmości bezdusznej, zawsze jednakiej zarówno dla gościa, jak dla stolika restauracyjnego.

Czekał teraz Kamil, kiedy zła fala zcichnie, obeschnie, a on znów odpocznie choćby w ciągu kilkunastu czy też kilku sekund, nim niepokój, syczący, jak piana po odpływie, znów nie wzbierze, nie zaatakuje oszołomionej świadomości, nie bryznie pytaniem: „o czem to ja zapomniałem?” i nie zasłoni świata koszmarnym obrazem.

Tak, w chwili wypadku i potem Kamil nie przypuszczał, że wczorajszy wieczór poczyni w jego psychice takie spustoszenia. Teraz widzi wyraźnie ten okropny moment, widzi swą wczorajszą obojętność, błysk papierosa, szczerze niedbale zapalane go w kilka minut po katastrofie. Przed oczami ma nietylko ogólną sytuację, lecz i takie nic nie znaczące szczegóły, jak kołysanie się na wietrze zagiętego rogu pędu, ruch każdej drobiny śnieżnej, których milion tańczyło w mroźnym, czarnym powietrzu. Słyszał lekkie skrzypienie sprężyn resorowych z prawej strony karoserji, widział siebie, bolesnie podrażnionego ponowną nieobecnością Rosy w domu i głupią odpowiedzią służącej: „Pani mi się nie zwierza, dokąd chodzi i kiedy wraca”, słyszał syczenie swej zazdrości i podejrzania, Żale, okrzyk uporu i dotkniętej dumy, poszukiwanie sposobu zemstczenia się na Risie i postanowienie wyjazdu bez pożegnania. Widział ogromne, szerścią futra najeżone plecy kierowcy, Oskara, zimne kule świetlne lamp elektrycznych, kołyszące się na nacentkowanym śniegiem wietrze, skręt ulicy Nowowiejskiej,

sztywny, zapatrzonego w czarne niebo kontur kościoła Zbawiciela. I swój okrzyk:

— Prędzej, Oskarzel!

— Panie hrabio, policja...

— Nic. Prędzej, nie bój się.

Silny Mercedes, nie bacząc na zbliżający się zakręt, wzmocnił szybkość, wpadł na kolisko pustego podówcza placu Zbawiciela, aż zazgrzytała sucho guma koła sypki i jak mgła, nieuchwytny śnieg. I wtedy właśnie... To było straszne. Na samym skrócie. Kobieta. Widać było, jak ujrawszy obok siebie torpedę mknącą, w srebrnym blasku maszyny, podniosła ręce i wciągu jakiegoś ułamka sekundy pokazała swą twarz, której wyrazu niepodobna było określić. Twarz pustą chyba, jak karta, na której rozchukana wyobraźnia mogła znaczyć dowolne rysy. Twarz pusta pewnie dlatego, że nagle kończące się życie i nadbiegająca śmierć jednocześnie się zjawily i spojrzaly przytomnie na siebie.

Bywają takie twarze. Pewien kapelan wiezienny twierdził, że twarzy skazańca w ostatnich chwilach jego życia niepodobna zapamiętać. Albo niema w niej nic, albo jest to, czego zwykły człowiek nie może zrozumieć.

Tak, Kamil pamięta spóźniony, w połowie zerwany krzyk sygnału, jakiś głupi, pozbawiony sensu i treści ruch Oskara, warknięcie hamulca, czyjs krzyk schrypnięty na chodniku i lekkie, niemal niedostrzegalne wstrząśnienie.

— Gaś numer! Gazul! — krzyknął Kamil.

Kierowca błyskawicznie uwolnił maszynę od działania hamulców, wykonał drobny ruch ręką, po którym natychmiast zgasła szeroka struga światła, a z tyłu żarówka, oświetlająca tabliczkę z numerem, i mercedes wpadł gdzieś w Koszykową, później na Wielką i już z rozjarzonemi latarniami beczelnie kręcił się pewien czas po różnych ulicach stolicy.

Drobiazgowy rozbiór kolejności przeżyć podczas wypadku stwierdził, że pierwszy odruch Kamila był, żeby zatrzymać maszynę. Wątpliwy ten odruch spłonął w wybuchu rozsądku:

— Tam już jest śmierć z pewnością, pomóż już niczem niezdolam. Natomiast narażę Oskara i siebie na więzienie, gdyż obostrzone przepisy utraty wolności osobistej obiecują nieostrożnym szoferom, lecz i pasażerom. Poza tem, przecież wczoraj wieczorem wysłałem, rzekomo już z dworca kolejowego, na wieść do matki list z zawiadomieniem, że wyjeżdżam na swój egzamin doktorski i dlatego nie mogę przybyć na nudną uroczystość rodzinną. Wypadek pociągnie za sobą sądy, ponowne odłożenie egzaminów, zdemaskowanie dość ordynarnego kłamstwa i niepokój rodziny o charakter stosunku mego do Risy. Ci ludzie nie rozumieją tego, że chciałem jeszcze o jeden dzień odwlec swój wyjazd, pokazać się nareszcie Risie w cywilu po zdjęciu ułanki. Napatrzyć się na miękkie, wydłóżone jak w jakimś uroczystym i poważnym tańcu, ruchy wysmukłej, zagadkowej, przedziwnie rasowej cudzoziemki, na oczy jej uśmiechnięte i zadumane, na dłonie długie a wąskie. Na całą jej postać, dokoła której jakby stale unosił się zapach lata i obłok dźwięków harfianych. A ja przecież jeżeli już nie dziś, to jutro muszę ją przed wyjazdem widzieć...

I dlatego zawołał:

— Gaś numer! Gazul!

I teraz Kamil widzi znów twarz kobiety w chusteczce na głowie, twarz, której rysów i wyrazu nie rozumie. Może był tam strach, rozpacz, nienawiść do tych, których lekkomyślność nieostrożność śmierć za sobą wlecze. A potem cisza, krzyk z chodnika i śmieszny ruch rękami jakiegoś przechodnia. Ale ten krzyk jakby tonął, gubił się, topniał w wrażeniu ogromnej trupiej wprost ciszy, jaka biegła za uciekającym samochodem. Ta cisza była podobna do twarzy Niewiadomej. Było to białe, rozpięte, nieskończenie wielkie płótno, na którym strach, sumienie, wstyd, malowały potworne piekło udręk. Cisza ciężka, jak brzemień grzechów całej ludzkości, obezwładniająca cisza, której zmysły nie są w stanie wytrzymać.

(D. c. n.)